

Magazyn Literacki Składka
nr 1/2024 (II)
Przesilenia



Edyta Kalumnia, Zuzanna Stempska,
Marcin Kończal, Maja Bromowska,
Natalia Latecka, Bogna Goślińska,
Marcin Salwin

Bartosz Danisiewicz, Agnieszka
Garbutt, Zofia Rozbiecka, Mira Król,
Justyna Ratajska, Marysia Adamska



4	Edyta Kalumnia plushk
5	Zuzanna Stempska Świat widziany patykami
8	Marcin Kończal Zawieszenie broni
9	Maja Bromowska, Natalia Latecka Pożegnanie z rybą
14	Bogna Goślińska TLK
15	Marcin Salwin To o mnie i o tobie
21	Bartosz Danisiewicz non stop
22	Agnieszka Garbutt
23	Zofia Rozbiecka Cebula
28	Mira Król prze.sile.nie
33	Justyna Ratajska Pety dachowce
35	Marysia Adamska Kondukt żałobny

plushk

Edyta Kalumnia

był strumień co płynął do morza i próbowaliśmy go przekroczyć
nawet z kaloszkami się nie da
trochę mokro trochę bardzo
coś jak hipermorze feeling
nie pamiętasz imion wszystkich swoich atomów
ale wciąż w tobie mieszkają
gotowe by cieć

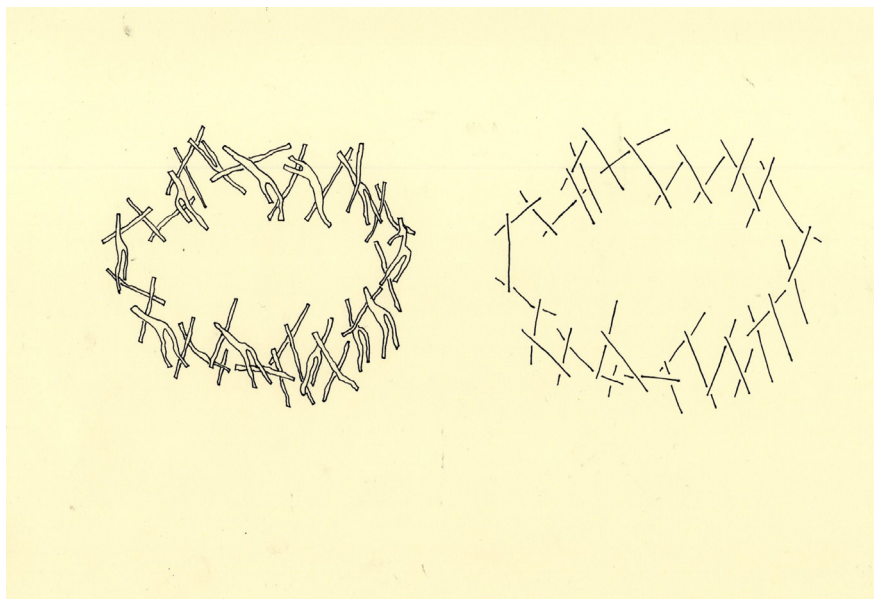
Edyta Kalumnia – migotliwa istota urodzona w Lublinie. Osoba efemeryczna - raz pojawia się, raz znika. Pisz, aby zapomnieć. Pisz, aby o niej nie zapomniano.

Ostatnio dni zaczęły robić się jakby dłuższe. Nienaturalnie wydłużone. I nie dlatego, że robi się cieplej i że drzewa kwitną. Jest coraz wolniej z innego powodu. Pod tą zieloną kopułą, w niektórych momentach zalesionej, coś się kryje, to wiem na pewno. Nic nie pozostaje niezauważone, każdy szczegół, okruczeństwo wizualnej otoczki tego świata dostaje swoją małą chwilę w pełnej krasie zauważenia. Ta myśl ciągle wraca, niemożliwa do wyparcia świadomość obecności tak zwielokrotnionej, że chyba nie umiałabym jej zliczyć. I to wszystko tak się dłuży, niewybaczalnie pociąga mnie do patrzenia, nawet wtedy, kiedy nie widzę nic. Rozpostarta nade mną ciemna luna nie sprawia, że wszystko gaśnie. Kontrast wtedy narasta. Błyski i rozświecenia wzbierają na sile. W ciszy, ale i w pełnym świetle, którego przecież po północy nigdzie nie ma. Wszystkiemu tutaj nie robi to naprawdę żadnej różnicy. Tak mi przecież powiedziało. Nocą i tak jest takie samo. Ptaki nadal śpiewają, jeżdżą tramwaje. Światło północne jedynie wydłuża ich cienie. Tutejsi lokatorzy niestety ich nie posiadają. Wielki organizm odpoczywa, ale nie zasypia, a każda z jego cząstek żyje wtedy niejednokrotnie dłużej.

Kiedy gaśnie niebo, znika też wszelki dźwięk. Niekiedy zdarza się jakiś zbłąkany, pojedynczy szmer, który przedziera się przez próżnię. Ale to dzieje się bardzo rzadko. Tak samo dotyczy to czasu, który jeśli w jakimkolwiek znaczeniu tutaj istnieje, wtedy wręcz się wyłącza. Ot tak, prawie znika, zwalnia do chorobliwie powolnego tempa. Zmusza bezwładnych piechurów, przemierzających te nocne równiny do rozpoczęcia swoich sennych podróży, które czasem trwają aż do końca wszelkich chwil, dni, czasów. Jedynie garstka z nich potrafi się temu oprzeć. O tak późnej porze, w wielu zakątkach, do których nie dociera nawet najmniejsza wiązka światła, można dostrzegać niezauważone i niezauważonych.

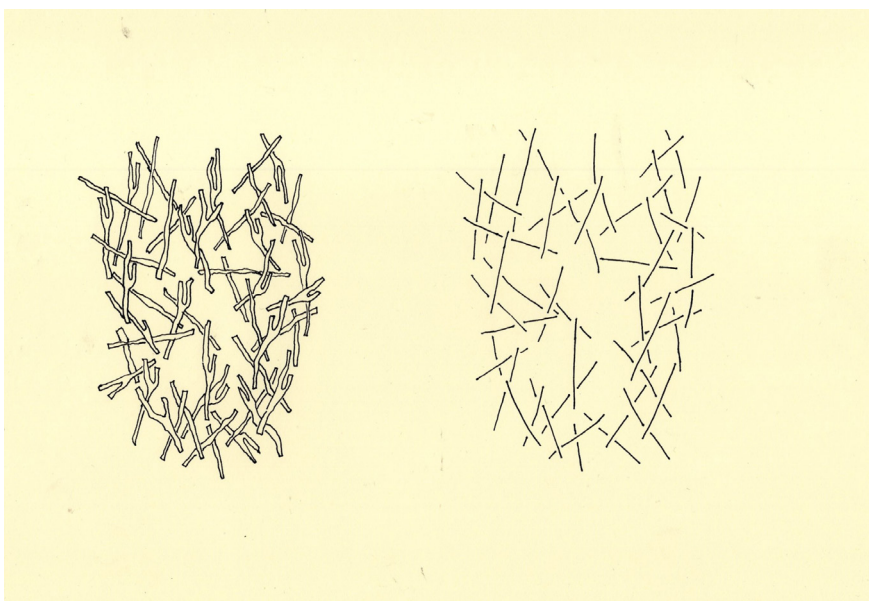
Świat widziany patykami

Zuzanna Stempka



Choć wieczór jest długi, to nie wiem, czy zdążę opowiedzieć Wam wszystko.

Kiedyś, powiedzmy – jakiś czas temu, chyba niezbyt dawno, nikt tu nie spacerował. Co prawda, ludzie pojawiali się w tej okolicy, ale raczej nie w niedzielne ani w żadne miłe i całkiem słoneczne popołudnie. Nikt nie jeździł tu na rowerze ani nie spacerował z wózkiem, ani nie wyprowadzał psa. Tylko o tej porze nikt tu tego nie robi. Wiele tutejszych drzew nadal szepcze. Prawie bezdźwięcznie opowiada o swoich ociosanych gałęziach i zmaltretowanych korzeniach. W niektóre dni, te najcichsze, kiedy wszyscy chowają się przed mroźnymi powiewami wiatru, rozpościerającymi ciemne fale, ich rozmowy są niemalże wykrywalne. Rozległy szum. Czasem wtedy i ja zapominam, że żyję. Nawet kiedy jestem tu za dnia, czuję ogromny cień, który jest tutaj wszędzie. Zaczyna się w tych ceglanych, częściowo podziemnych konstrukcjach. W tych już zamkniętych kratami, oby na wieki, tunelach. Nadal słyszę poruszenie wśród drzew. Myślę, kto byłby w stanie mnie rozpoznać, gdyby moje ciało zostało roztrzaskane na setki kawałków niczym szklana kula.



Wiele drzew też o tym myślało, często o tym mówią. Albo gdyby zrobić we mnie dziurę i okazałoby się, że w środku tak naprawdę nic nie ma. One nie chcą o tym słuchać. Zaczynają szumieć głośniejsze i głośniejsze. Wiem, że ktoś im tak kiedyś zrobił, wyrządził ogromną krzywdę. Zostawił blizny. Niektóre z nich wciąż widać wśród struktur kory. Już mnie nie słuchają, ale ja zdaję sobie sprawę, że słyszą. Dawno temu wiele z nich ścięto. Niektórym zadano ciosy po same ich rdzenie. Tylko inne drzewa o tym pamiętają, bo ludzka pamięć jest omylna. Jest tu trochę kamieni z przeróżnymi grawerunkami, ale to nie wystarcza. Wszystko jest zbyt nieruchome. Za kilka godzin pojawią się pierwsze szelesty wśród liści, odgłosy kroków w alejkach. Będzie normalnie, bo przecież tak tu jest od lat. Tak miało być, tak, żeby nikt już nie pamiętał o odciętych gałęziach, wykarczowanych drzewach i spalonych do gołej ziemi terenach. Dzisiejszy wieczór jest prawie niesłyszalny. Graniczy z dźwiękiem. Jest niczym mgła, która letnim porankiem spływa ze zboczy zielonych pagórków. Z lekkością zaczyna zakrywać chodniki i ławki. Kamienne murki i konstrukcje. Pomniki i rzeźby. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ale wybija właśnie północ, a mój zegarek chodzi do tyłu.

Zuzanna Stempska – od 2020 studentka Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Jej zainteresowania to instalacja, rysunek, wideo oraz teksty autorskie. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @zstempka.

Zawiesze- nie broni

Marcin Kończal

Mówisz, że już w ogóle nie chce się ze mną kłócić.
Interesują Cię tylko te sprzeczki na niby, po udawanym
włosku, z krzyczeniem i wymachiwaniem rękami na ulicy.

Marcin Kończal (ur. 1989) – poza *Składką* publikował w *Wizjach*, *Fabulariach*, *Epei* oraz na stronie *Toposu*. Mieszka w Poznaniu.

I tak niczego nie wymyślę. To znaczy, mogłabym sypnąć z rękawa, ale to tak jak z bezlikiem jesiennych liści. Przy czym one są lepsze, bo szumią i szeleszczą przy chodzeniu i rozgarnianiu ich stopą. A jeżeli nie ma się wężu zniszczonego covidem, można wyczuć delikatny zapach. Swoją drogą, dla drzewa musi to być niezły szok – stracić z dnia na dzień prawie wszystkie liście. Ileś miesięcy nosiło się tę szatę, karmiały ciężar i nagle traci się krwiste połączenie. Trochę jak człowiek, któremu spada poziom hormonów. Liście, póki zielone, są pulsujące i ważne. Jeszcze miesiąc czy dwa temu zachodziła w nich fotosynteza. A teraz nagle pyk i taki liść leży na chodniku. Ktoś w niego splunie, ktoś nadeptnie i ogólnie koniec kariery.

Odlatujące gęsi drgają na niebie. W ptasich kluczach zachwycające jest to, że tworzą się w każdej sekundzie od nowa. Wciąż rozpadają się i scalają. Jakby były i jednocześnie ich nie było. Doskonały przypadek abstrakcji. Można powiedzieć, że zamykają lato za bardzo grubymi drzwiami, w szczelnym sejfie, po drugiej stronie kuli ziemskiej. Przecież dla normalnego ludzkiego umysłu druga strona kuli ziemskiej to mrok i żadne streamingi tu nie pomogą. Ani podróże.

Pierwsze, słoneczne dni października napawają nadzieją, że ciepło można kumulować pod skórą, pod powiekami, że może wystarczyć na długo. Dziewczyny siedzą na murku, czekając na lot. Może i zapaliłyby papierosa, ale jedna pilnuje drugiej. A w myślach każda sobie powtarza, że fajnie byłoby zajarać. Piją latte na spienionym mleku roślinnym, którego pochodzenia nie znają i to pozwala im delektować się smakiem. Plotkują o chłopakach. Z eleganckiej studzienki zalatuje ściekiem. Ten moment, podobnie jak wiele innych, mógłby trwać nieprzerwanie. I być może gdzieś w przestrzeni echo ich głosów nadal rozbrzmiewa.

Pożegnanie z rybą

Maja Bromowska,
Natalia Latecka

Idą do bramki z kontrolą bezpieczeństwa. Mozolny proces rozbierania się, zdejmowania akcesoriów, pasków, sprzączek. Na szczęście nie zawsze ściąga się buty. Każda otwiera swoją walizkę i można zobaczyć, co uznały za nieodzowne. Szare pudełka jak gąsienice powoli przechodzą przez czarny tunel. Się ubrać – paski, breloczki, pochować sprzęt, o niczym nie zapomnieć, obejrzeć się trzy razy. Kontroler, tkwiący na stolku, tak jakby ten stał się częścią jego ciała, protezą, może trochę niechcianą, burczy coś po niemiecku. Ton jest nieuprzejmy i słychać w nim niezachwianość wiary w to, że dziewczyna go rozumie. I ona rzeczywiście go rozumie, ale udaje, że jest inaczej. Ich oczy spotykają się. Jego twarz, bez oznak emocji, ledwo mieści się w kadrze.

– Tak wygląda schyłek zachodniej cywilizacji. Mógłby brzmieć jak symfonia Beethovena. Pewnie chcesz zapytać, która – dziewczyna mówi to gdzieś pomiędzy nim, a swoją towarzyszką, w ich słowiańskim języku.

– Mam nadzieję, że nie trzecia, popłakałabym się z nudów!

– Naprawdę, wielu myśli, że to byłby koniec świata. To przepotwor-na megalomania. Dobra, teraz nie ma dinozaurów, kiedyś może nie będzie ludzi.

– Sycylia to gate 7. Jakaś boska cyfra.

Apokalipsa dziewczyn nie interesuje, bo i dlaczego miałoby to zajmować ich głowy, pełne projektów, obowiązków, erotycznych fantazji i miłosnych poszukiwań. Może ktoś uznałby, że czterdziestolatki to już nie dziewczyny, ale to tylko dowód typowej ignorancji. Wychodzenie z niej to jak zejście z pokładu samolotu na nieznaną dotąd ziemię. Zapach lotniska na Sycylii znacząco różni się od tego w Berlin Brandenburg.

– Październik to nie sezon na pomarańcze – stwierdza z przyklejonym uśmiechem sknerowata staruszka. Siedzą wraz z mężem w samym

przejściu do jadalni, zupełnie nie przejmując się, że są gospodarzami pensjonatu. Trzymając się za ręce, oglądają włoską wersję telewizji „Trwam”.

Dziewczyny mogą sprawiać wrażenie wyrwanych z jakiegoś obrazka albo wyciętych krzywo nożyczkami i wklejonych w krajobraz z palmami, połyskującym w słońcu rozległym morzem i białymi skałami, kontrastującymi z wulkaniczną ziemią. Wiele programów oferuje taką możliwość – skopiowania swojej sylwetki i wklejenia w dowolną scenografię. Dziewczyna z liściem na twarzy i blondynka o przeźroczysto-szarych oczach w takich chwilach zespalają się jak syjamskie rodzeństwo, zrosnięte bokami ciała. Tutejsze krajobrazy dla wychowanych w PRL są jak klisze starych slajdów. Pot spływa po udach, plecach i między piersiami. Idą przez sycylijskie bezbrzeża, jakby wiedziały dokąd. A przecież nie wiedzą.

– Wspomnienie błękitu towarzyszy mi od czasów, kiedy jeszcze się nie narodziłam. Bierze się znikąd i rozplywa nie wiadomo gdzie. Być może patrząc z kosmosu sprawa jest prosta – błękitna poświata kończy się, tam gdzie atmosfera. Kiedy przysuwam do oczu żółty, mokry liść klonu, widzę jego zaostrome krawędzie. Liść obejmuje moją twarz i czuję wzruszenie. Kojarzy mi się z ciepłą dłonią, która nie chce mnie puścić. Przyczepia się do włosów, klei do skóry i ja się na to godzę. Tak żyję z liściem na twarzy. Prześwitujące przez niego światło ma ciepły kolor. Nie docierają spaliny i nikt mnie nie zobaczy, dopóki pod niego nie zajrzy. Ciekawe zjawisko zachodzi wtedy, gdy wewnętrzny błękit, ten wschodnioeuropejski, wchodzi w reakcję z takim na przykład sycylijskim. Błękity poznają się, są zdziwione, a człowiek nie ma nad tym żadnej kontroli.

Kaktusy i aloesy są niezniszczalne. Żółwie żyją 200 lat, zamknięte w swojej skorupie. I też lubią plażę, tak jak dziewczyny. Ta z liściem lubi pływać, zwinnie i bezgłośnie porusza się tuż pod taflą. W przeciwieństwie do blondynki, która z niewiadomego powodu boi się głębokości. Dla dziewczyn, zrośniętych jak syjamskie rodzeństwo, ta różnica stanowi problem i jednocześnie jest jego rozwiązaniem. Na skałach otaczających morze blondynka dokonuje heroicznego dla niej kroku i wskakuje do wody. Zanim to zrobi, mija trochę czasu, męczy ją coś pomiędzy chęcią a tęsknotą, pod skórą przechodzi dreszcz strachu. Ostatecznie to nogi decydują.

- Po skoku czuję się jak niemowlak, który pierwszy raz kąpie się w wannie. Niepewność oddechu, drżenie, szok.
- To niezwykle, że za każdym razem masz taki powrót do przeszłości.
- Ciągłe szukam przyczyny. Mam różne teorie. Być może dawno temu, w innym ciele, podjęłam podobny wysiłek, żeby wyjść na ląd. Zatrzasnęłam za sobą jakieś drzwi. A teraz próbuję je za wszelką cenę otworzyć, waląc pięściami i kopiąc.
- Ja z kolei mam wrażenie, jak gdybym nigdy nie wyszła z wody. Noszę ją wszędzie ze sobą i ona czasami wytryskuje. Płacę albo opowiadam bardzo smutne rzeczy. Opływam bliskich jak skały, trochę ich obmyję, polizę, roztrzaskam się.

Miasta portowe mają w sobie sól. Niosą historie marynarzy i turystów, którzy przybijają tam tylko na chwilę, ich rozstania i tęsknoty za stałością, która umożliwia powolne wzrastanie. Pod wieczór dziewczyny są głodne, a pora jeszcze za wczesna, jak na sycylijskie obyczaje. Przemiała gospodyni nakrywa stół, pomimo że jest jeszcze zamknięta. Blondynka jest wegetarianką, ale zdarza się jej zjeść owoce morza. Tutaj nie ma innej opcji. Zamawiają i czekają, a czas przyjemnie się sączy. W oddali

słyszać szum statków, które kołyszą się w porcie. I nagle wjeżdżają na stół dwie ryby w całości, tak jak je matka natura stworzyła, doskonale upieczone. Na twarzy blondynki widać zmieszanie, jakby ktoś podsta-
wił jej nogę. Jakby jej przyniesiono nie zamówioną rybę, ale krowę na
talerzu, z rogami i wymionami. Ale nic to, nie poddaje się.

– To może być moje pożegnanie z rybą.

Po kilku kęsach jej twarz się rozmywa i blednie. Odsuwa gwałtownie
krzesło, zrzucając sztucze.

– Przepraszam, ale muszę się przejść.

– Weź serwetę!

Musi minąć cały ciąg knajp, które w międzyczasie się otworzyły. Re-
stauratorzy patrzą na wymiotne konwulsje z ulgą, że to nie u nich
w lokalu. Za rogiem wszystko się uspokaja i po chwili blondynka wraca.
Kelner bez słowa zabiera jej talerz i stawia go przed tą z liściem, która
wprawdzie niepokoiła się o towarzyszkę, ale nie przeszkodziło jej to
w dokończeniu swojej porcji. Sytuacja nie wymaga komentarzy ani
tłumaczeń. Blondynkę ogarnia upragniony spokój.

– Nie będę się już kopać z drzwiami. Teraz to ty jesteś dla mnie jak skała.
To przyjemne uczucie, że naprzeciwko jest ktoś, o kogo można się roz-
bić i spienić. A następnie rozlać się w bezkresie.

Podobnie październik, wypełniony słońcem i nadzieją, roztrząska się
o zimny i bezlitosny listopad.

TLK

Bogna Goślińska

tak zmęczona że liże szybę
wspomina akacje
budynki
szpaler drzew i czas:
godzinę przed wschodem
południe obiad kawę bez deseru

więcej dać nie może więc nie daje
jest jeszcze chwilę i znika
chłodno
prawie bez pożegnania

wyszła za próg zanim otworzył drzwi
trochę harda
trochę nie
ale śmiała się dużo

[N]iezależnie od tego, czy będzie to dramat historyczny, opowieść o problemach społecznych, komedia czy kryminał, przede wszystkim ma być to historia miłosna.

(Nowicki 2006: 18)

To o mnie i o tobie

Marcin Salwin

Bardzo lubię słowo „głupiutkie”. W swojej niefrasobliwości bardzo sprawnie oddaje specyfikę niektórych przewrotnie sensownych zjawisk. Ostatnio miałem przyjemność prowadzenia wykładów dotyczących aparatów mediacji (za Bolterem i Grusinem). Zrządzeniem losu pojemność zjawiska natychmiastowości (*immediacy*) dość wymownie można zilustrować strategicznym zestawieniem dwóch przykładów wizualnych – zrzutu ekranu z *Euro Truck Simulator*, przedstawiającego, no cóż, kabinę ciężarówki z perspektywy kierowcy, oraz czystego obrazu przedstawiającego wnętrze kościoła z poziomu wzroku, autorstwa Pietera Jansz. Saenredama. „To głupiutkie”, można pomyśleć. I rzeczywiście – troszkę jest.

Mamy 2008. Kryzys ekonomiczny trzęsie Wall Street, na ekrany kin wchodzi pierwszy *Zmierzch*, gotowy raz na zawsze zmienić chemię mózgu całego pokolenia, a jak chce się pograć w Simsy, to trzeba znaleźć kogoś, kto jakimś cudem ma jeszcze wszystkie cztery płyty. Nastaje październik. A z październikiem – *BrzydUla*. Za nami ponad półtorej dekady marynowania serialu, które bardziej niż kiedykolwiek wcześniej uwidoczniło, jak sprawna w petryfikowaniu właściwego swoim czasom stanu jest *BrzydUla* – ujawniając, pod przykrywką pewnej głupiutkości, słodko-gorzki polski sen o czymś innym. Nie chodzi jednak o to, żeby szukać machiawelicznie ukrytego sensu albo uciekać się do niehigienicznych form interpretacji. Raczej o przyjrzenie się czułym okiem

nieintencjonalnemu raportowi o nas samych, o społeczeństwie – tym wspólnym. A wszystko w zakonserwowanym na Playerze, niełatwym liście miłosnym do absolutnie skrywanego polskiego sentymentalizmu.

Tu fui ego eris – byłem tobą, a ty będziesz mną – mówi ta mniej popularna siostra oklepanego już, łacińskiego borejkizmu *Memento Mori*. Więc *tu fui ego eris*, Ulu Cieplak, *she's just like me, for real*. Bo Ula ma w sobie coś swojskiego i uniwersalnie znajomego. Bładym świtem telepie się zapchanym wieśbusem z Rysiowa do Warszawy, je najpyszniejsze zapiekanki z najobszerniejszej budy, zawsze czuje, że jest za mało i za dużo jednocześnie. Wydaje się bliska, kiedy ma proste życzenia. Dużo myśli o miłości albo odczuwa frustrację, o których nikomu nie mówi. Bo i my lubimy sobie o takich rzeczach mówić. I chociaż obsadzenie Julii Kamińskiej w roli „brzydkiej dziewczyny” ma sens podobny do obsadzenia Margot Robbie w roli Barbie z kompleksami (wytknięty w samym filmie) albo Anne Hathaway jako szarej myszy w stylu 2008 (ostatecznie rok robi swoje). Bo przecież największe grzechy, jakie może popełnić kobieta, to krzywy zgryz i wada wzroku.

Olga Szmidt w tekście *Czy telenowela może być jakościowa? Telewizja, hybrydowe gatunki i niepokalane pojęcie* rozpoznaje, że: „Nie bez znaczenia (...) jest pierwszoplanowa postać (nierzadko tytułowa) – niemal zawsze kobieta, (...) podążająca w swoim życiu za moralnymi wyborami. Taka bohaterka, pozwalająca dużej części widzek na łatwe utożsamienie się bądź »empatyzowanie« z tym, co dzieje się na małym ekranie, pozwala na wprowadzenie bardzo istotnego wymiaru telenoweli. Mianowicie – przejrzysty kodeks moralny, wyraźnie określający dobro i zło” (Szmidt 2017: 65). Ula wpisuje się sprawnie w te ramy – jako *underdog* z niższymi szansami na powodzenie w stosunku do swoich współzawodników. Ale

to nie jest takie proste ani czarno-białe. Zarówno *BrzydUla*, jak i *Fleabag* (napisana i zagrana przez Phoebe Waller-Bridge) usprawiedliwiają swoje bohaterki, podając w wątpliwość z góry przyjętą moralność. Poprzez nawiązanie bliskiej, a wręcz intymnej, relacji z widzem cechy wszystkich postaci, zarówno pozytywne jak i negatywne, poddane są zniekształceniu perspektywicznemu. Zdecydowanie subiektywnemu, bo, jak pisze Adil Rahim Hyder, „serial czyni widza częścią świata, zmuszając go, by poczuł się zaangażowany w to, co się dzieje. (...). Oglądający jest jej [Fleabag] najbliższym przyjacielem, jej najwierniejszym sprzymierzeńcem, do którego zawsze może się zwrócić”. I żadna z dziewcząt z tej relacji nie rezygnuje.

Fleabag nawiązuje nić porozumienia poprzez burzenie czwartej ściany i bezpośredni, dojmująco namacalny kontakt z widzem oraz narrację i znaczące spojrzenia dysocjujące. Ula prowadzi monolog wewnętrzny w podobnym stanie odcięcia od bodźców otaczającego ją świata. To przełamanie konwencjonalnej struktury – porządku, który, idąc za Raoulem Eschelmanem, „ujawnia się jako jego kluczowy, nierozstrzygalny warunek wstępny. To miejsce, które znajduje się jednocześnie w środku i na zewnątrz, miejsce, gdzie tekst i kontekst spotykają się zarówno w sposób zasadniczy dla układu dzieła, jak i niemożliwy do wyznaczenia z góry” (Eshelman 2012: 246).

Ula daleka jest od etycznej nieskazitelności oczekiwanej od standardowej bohaterki telenoweli. Koniec końców – wykonuje podejrzone operacje finansowe, kłamie i angażuje się w romans, świadoma swoich działań. I nie tylko ona, bo mimo że narracja trzyma nas najbliżej Uli, serial, realizujący formułę powielanego „spotkanie-kłopoty-przezwyćięcie” (Nowicki 2006: 18), pozwala w pełni zaistnieć również innym

bohaterom, tym, upraszczając, brzydkim, i tym ładnym, a to wszystko składa się na obraz zaskakująco czuły i empatyczny. Bo brzydulowym *constans* jest ruch.

Sandy Flitterman-Lewis (Flitterman-Lewis 1992: 218) pisze, że: „telewizja (...) oferuje jakość natychmiastowości, »tu i teraz« jako czegoś odmiennego od »tam i wtedy« kina. To specyficzna forma obecności – sugerowana natychmiastowość”. Format, zgodnie z którym na jeden dzień roboczy przypada jeden odcinek, nie ma już znaczenia. Platformy streamingowe pozwalają na bezpośredni udział w serialowych perypetiach i nieprzerwane towarzyszenie bohaterom. Dni upływające wraz z seansami pokrywają się z dniami oraz porami roku postępującymi w fabule, a immersja w powierniczej relacji między Ulą a widzem pogłębia się.

O *BrzydUli* można dużo pisać. O aspekcie *domesticity*, o aktualizacji czy rekontekstualizacji motywów fabularnych, które zestarzały się lepiej lub gorzej za sprawą wzrostu społecznej świadomości problemów takich jak przemoc seksualna, mobbing czy utajona bezdomność. A to wszystko, o ironio, w jednym z najbardziej kolorowych seriali w historii polskiej telewizji, jednym z najbardziej świadomych rozbieżności świata – tego tu i tego tam, zarówno serialowego wobec realnego, jak i dwóch światów wyznaczanych przez status materialny wewnątrz serialu. Jak to pada w jednym z odcinków, czasami nie pozostaje nic, tylko patrzeć jak limuzyna odjeżdża bez ciebie.

„Wieczorem przed mym domem wystawię ekran i wyświetlę film”, śpiewał Artur Rojek, pierwszy sentymentalista Rzeczypospolitej, w *Piosence dla moich sąsiadów*. Myśląc o tym wersie, zawsze w żarcie dopowiadałam

sobie, że pewnie powinien to być *Shrek*, w nawiązaniu do kadru przedstawiającego zielonego ogra, wyświetlanego na bocznej ścianie bloku z wielkiej płyty w Gdańsku. Chociaż im dłużej o tym myślę, tym bardziej obawiam się, że jednak lepiej byłoby wyświetlić *BrzydUłę*.

Pozostaje pytanie – co nam to wszystko właściwie daje? Pokrzepiająco odpowiadam – nic szczególnego. Chociaż ponowny seans *BrzydUli* w umożliwionym przez streaming binge formacie uświadomił mi, jak głęboko stresujące jest to doświadczenie. I myślę, że każdy, kto podejmie się rewaltu tego artefaktu kultury polskiej, się ze mną zgodzi. Jednak tak jak uspokajałem moich współoglądających, tak uspokajam teraz.

Wszystko się dobrze kończy. Na zdrowie.

Marcin Salwin – urodzony w 1997 naoczny świadek trudnej relacji praktyki z teorią. Absolwent rysunku na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu. Zainteresowany głównie zagadnieniami narratologii transmedialnej, dialogowaniem z kategoriami literaturoznawczymi oraz powoływaniem kontekstów popkulturowych. Zajmuje się relacją szeroko pojętego rysunku z poetyką. Z zawodu – dydaktyk, z przyzwyczajenia – nikt specjalny.

Bibliografia

Eshelman Raoul, 2012, *Performatism, or the end of postmodernism (American Beauty)*, „Przestrzenie Teorii” 17, Poznań, s. 245-283.

Flitterman-Lewis Sandy, 1992, *New Vocabularies in Film Semiotics: Structuralism, Post-structuralism, and Beyond*, Routledge, London/ New York.

Rahim Hyder Adil, 2023, *On 'Fleabag' and the Appeal of Damaged Characters*, <https://www.highonfilms.com/fleabag-tv-series-essay/> [dostęp: 17.11.23].

Nowicki Paweł, 2006, *Co to jest telenowela*, Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa.

Szmidt Olga, *Czy telenowela może być jakościowa? Telewizja, hybrydowe gatunki i niepokalane poczęcie*, https://ruj.uj.edu.pl/xmlui/bitstream/handle/item/155062/szmidt_czy_telenowela_moze_byc_jakosciowa_2017.pdf?sequence=1&isAllowed=y [dostęp: 17.11.23].

im starszy byłem, tym więcej kolorów musiałem uczyć się przełykać. najpierw brać do rąk drewniane pałeczki, starannie wybierać z wyszczerbionych misek małe, najmniejsze okruchy. rozcierać zębami, językiem prowadzić z nimi w tańcu. smutne błękity, soczyste i głośne czerwienie, gorzkie pomarańcze i bardzo drogie fiolety. mieszało się to wszystko z moją zamieszkałą w żołądku żółcią. zwracałem na zewnątrz, od czasu do czasu, jadowitą zielenią.

non stop

Bartosz Danisiewicz

Bartosz Danisiewicz (ur. 2004) – pisze, czuje, pragnie. Studiuje psychologię i kognitywistykę w ramach Kolegium MISH Uniwersytetu Warszawskiego. Zwycięzca XII edycji konkursu „O Trzcinę Kortowa”. Laureat II miejsca w ogólnopolskim konkursie Fundacji Olgi Tokarczuk na mowę noblowską za esej *Okna*. Chciałby kiedyś mieszkać w nowojorskiej kamienicy. Płytę Lorde *Melodrama* odtworzył ponad 500 razy. Pracuje nad swoim książkowym debiutem. Klatkami ze swojego życia dzieli się na Instagramie @bdanisiewicz.

Agnieszka Garbutt

wasi chłopcy to festiwalowe bangery
niosą w pyskach nasze dziewczyny
świecące fluorescencyjnie
pachną jaśminem, różą i śliną

i nie chcą już mieszkać w mięsie
gdzie urywa im się stream
puszczają rzadkie pawie
a ciało, które jeszcze przed chwilą pulsowało
jak ciepłe serce królika
staje się ciężką pompą do gnojowicy
i łamaczem kuchu

Agnieszka Garbutt – publikowała w *Składce*, *Ricie Baum*, *Wizjach*, *Helikopterze*, antologii *Przewodnik po zaminowanym terenie 2*, *Tlenie Literackim*, magazynie *Szpol*. Mieszka w Wielkiej Brytanii.

Cebula

Zofia Rozbiecka

Jeszcze przed wschodem słońca, przed pierwszą trzeźwą myślą, ostatnim słowem ze snu i wyostreniem wzroku – już budzi się. Wypada jak kamień z nocy – w dzisiaj, prostuje senne cielsko i stawia

krok
po kroku.

Ubiera się. Znajduje na ślepo okulary, wciąż jeszcze całkiem zbędne dla zamglonego wzroku i dla zamglonych myśli. I tylko stary nawyk unosi go ze sobą. Więc daje się tak ponieść z pokoju do pokoju, z drzwi do drzwi, z progu na próg i od domowej ciszy do ulic i hałasu, w zimowy, szary świt. Już siódma, ranek. Biedny – bo biegnie na przystanek i nawet nie ma czasu, by przysiąść i zapłakać.

Więc nieskażony myślą, wczorajszy, z suchym okiem, wędruje prostym krokiem przez całą resztę życia. Po drodze: Jan, kolega, poznany w czasach szkolnych, od dawna niewidziany. Nie poznał go. To szkoda, choć całkiem zrozumiałe, a zwłaszcza o tej porze. I dalej: praca. Niezła, bo ważne, że z niej może jakkolwiek żyć i przy tym po drodze nie zwariować. Pół doby i spokojna, bo pusta głowa. Potem jak z domu, tak od nowa – ta sama droga z pracy, niezmienna, bo już znana. Wieczorem odwiedzi u matki, bo bądź co bądź, wypada ją odwiedzić. A ona – jak to mama, co tydzień o tym samym, bo zwykle siedzi sama, to samo opowiada i pyta: czy coś jeszcze? gdy znów podsuwa talerz bez żadnej odpowiedzi, a on się wgapia w wiecznie włączony telewizor i tylko kiwa głową. Godzinę, dwie tak siedzi i wreszcie: znów do domu. Bez zdziwień, rewelacji, poruszeń – aż do siódmej.

Siódma, wieczór. Czas kolacji. Najwznioślejsza pora doby, choć z początku – niepozorna. Na kolację – ot, makaron, z sosem takim,

jaki robi, gdy przeszpera już lodówkę i zobaczy, co w niej trzyma. Ale
zawsze go zaczyna
od cebuli.

Ach – cebuli.

I cebulą rozpoczyna oraz kończy ten rytuał.

Sięga po nóż, już cebulę dzielnie kroi; i przebija się przez warstwy, jak-
by im nie było końca; a spod każdej z nich wypływa
kwaśna łezka.

Oplakuje:

że nie ujrzał

wschodzącego późno słońca,

że sen urwał w pół, że nigdy

już nie dośni go do końca,

że znów ślepo – w ciemny ranek

z ciemną głową, ciężkim krokiem –

szedł w milczeniu.

Że przyjaciel

niewzruszonym, pustym wzrokiem

mógł mu spojrzeć prosto w oczy,

jakby nic nie rozpoznawał.

Że

z widzianą w każdy piątek, regularnie, jak należy,

ukochaną

starą

matką –

nie zamieni szczerze słowa,

a jej: puszcza mimo uszu;

że tak wiedzą i hałasem

cięży mu bezmyślna głowa
i że jutro –
że od nowa
wszystko zacznie, tak, jak dzisiaj,
i że noc znów taka
sama. I że on jest sam –
niezmienny.
Opłakuje:
ciszę nocy.
Pustkę domu.
Śmieszność swoich
łez – wylanych nad cebulą
i cebulą wyciskanych.
Oraz to, że nie ma komu,
nie ma po co, nie ma kiedy,
troszczyć się o jego żale,
nazbierane tak wytrwale i tak skrzętnie przez pół doby,
przez ten długi, ciężki, ciemny, nudny dzień,
aż do wieczora.
Do końca dnia.
Kolacji.
Już.
Minuta mija.
Spada nóż
i spada łza
Ostatni raz.
To olej skwierczy.
Mija czas

na żal i gniew, i każdą myśl,
zamkniętą szczelnie do wieczora,
schowaną na dnie serca, głowy
i wreszcie uwolnioną łzami.

Do czosnku,
grzybów,
pomidora,
dodaje jeszcze sos sojowy.

I sypie hojnie: sól, pieprz... co tam odnajdzie w szafce z przyprawami.
Podsmaża ładnie na patelni, wlewa śmietankę, łyżką miesza;
jest schludny: co ubrudził, myje; a co już umył, to odwiesza.

I w międzyczasie ugotował, czy przegotował swój makaron, i już nie
czeka, aż wystygnie, bo na to nie ma cierpliwości, i nie ma czasu, i ochoty.
Nakłada sobie pełen talerz, chociaż nie czuje apetytu. Je szybko, bo
ma jeszcze pełno i makaronu, i roboty; i pełne ręce, pełen etat; a brzuch,
mieszkanie, serce – puste.

I wyszło dobrze.

Nie za ostre.

Nie przesolone.

Nie za tłuste.

I jeszcze tylko straszna cisza dudni mu w uszach jak szyderstwo, kiedy
dojada i dopija, i patrzy tępo na dno szklanki. Nareszcie wstaje od
stolika. Włącza muzykę. W tle przygrywa playlista z lat osiemdziesią-
tych, a za oknami gasną światła i zasuwiają się firanki. I on zasuwa, gasi,
łazi chwilę bez celu po mieszkaniu, bardzo przestronnym dla jednego
nieruchliwego domownika (bez zwierząt, gości, bez znajomych).

Wzdycha i wraca do stolika.

Przed snem przegląda wiadomości, bo woli wiedzieć, co się działo,

a do snu nie iść z pustą głową i niezajętą niczym myślą – bo kto wie, na co taka spełźnie i jakie sny się z takiej przyśnią, i jakie z jawy – ze snu przyjdą.

Choć nadal

jedna – niestrącona wieczorem łezka krąży w oku,
jak sekret skryta pod powieką, ale bolesna tak jak drzazga.

Może wypłynie, kiedy w mroku wspomnienia z ranka mu się przyśnią,
i gdy rozumem znowu wstrząsną przedziwne dobre i złe sny.

Nie znalazł nadal antidotum na zmory dzienne.

Jeszcze zdąży.

Ale dziś dzień jak rok mu ciąży – tak pusty, prosty, długi, zły.

Opada głowa i powieka. Zmęczoną twarz spowija cień.

Niech trwają sny, nim dzień je przerwie.

I niech przez noc się leją łzy.

prze.sile. nie.

Mira Król

I

Na koniec każdego roku podstawówki facetka zwykła powtarzać niestrudzenie jedno zdanie, kalka za kalką, jakby odpalała starą płytę z tych kulawych czasów, jakie kotłują się w pamięci, tworząc szaroburą masę obrzydzenia faszerowanego tęsknotą – śledzie moczone w mleku i bułka nurzana w wodzie i posypywana cukrem. Iluzja powtarzalności i stałość, którą przeżykaliśmy z trudem, ale i nie bez przyjemności.

Z każdą chwilą, co zabrzmi cholernie żałośnie, stawaliśmy się starsi. Co w naszych głowach, odłączonych od myślenia hormonami, czyniło z nas prawie dorosłych. Czarny winyl nabierał rozpędu, a igła dźgała powierzchnię płyty z czułością, z jaką dentysta wyrywa mleczaiki bez znieczulenia, by zrobić miejsce nowemu. Ból jako nieodzowny element przejścia. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że mgr zrobię z cierpienia, a nawet obronę ją z wyróżnieniem.

Chroboty przechodzą płynnie w dźwięk. Z głośnika wysypują się wprost do naszych, kładzionych po sobie, małżowin usznych ograne kawałki z Opola '79. Miarowe pocieranie, iskry i trzaski wiodące ku melodii, którą dobrze znaliśmy: „Szanowni Państwo, *Cała sala śpiewa z nami*. Krótki prolog do: „Ktoś mądry – bez imienia i nazwiska, jakby dane osobowe rzeczonoego mędrca owiane były srogą tajemnicą – powiedział niegdyś, że życie składa się z powitań i pożegnań”.

.Pauza. Zaczyna się i kończy kropką.

Pauza jest ważna, pauza ma podkreślić powagę sytuacji. Akcent kładziony na wyraźny koniec i majaczący w tle początek. Przesilenie – krótka lekcja zostawiania za sobą przeszłości. Utrata wiary w stałość

i skok na główkę w nieznane.

„Jedyną stałą rzeczą w życiu jest zmiana” – powiedział Heraklit z Efezu.
Dziecko wylane z kąpielą.

Tymczasem wyświechtane, śmierdzące potem i cebulą słowa belferki
zlewały się z brzydką wydzieliną spod pach i kroczy uczniów i ich, nie
żeby znowu zawsze tak dumnych ze swoich pociech, rodziców.

Z twarzy rodziców dało się wyczytać współczucie. Widzieliśmy je
dostatecznie wyraźnie, by pogłębiało kielkujące w nas przekonanie
o bezcelowości naszych starań. A jednak wszyscy jesteśmy tylko trybi-
kami, które pokrywa rdza i łamie czas. Patrząc na nas, widzieli siebie
z wczoraj. Karmieni słowem zza różowych okularów, kładli na języki
słodkie landrynki i śnili o jutrze. Lecz gdy przyszło jutro, zza wszystkich
porów skóry wyzierało rozczarowanie, a na języku zostawał nieprzy-
jemny, biały osad. Candida. A teraz my, nasza kolej, żreć, opychać się
do nieprzyzwoitości. I cóż z tego, gdy nasze brzuchy, pozornie pękate,
pozostawały puste.

Dalej już tylko brawo, owacje, sprawnie poczynaliśmy sobie w tym
teatrze, odgrywając swoje partie. Potem wszyscy, którym udało się
odkleić swoje wilgotne ciała od szkolnych ław, posłusznie i w jednym
rytmie szliśmy do domów, do domów.

I tylko lato wciąż czekało na nas z całą tą obietnicą rzeki i lasu.

Skłamałabym, mówiąc, że nie wodziła nas na pokuszenie ta tłusta
pozorna wolność. Śmietanka żółciejąca na bieli mleka. Co nie zmie-
nia faktu, że pielęgnowaliśmy w sobie głębokie przekonanie, że wraz
z pierwszym krzykiem wdepnęliśmy w niezłe gówny. No future. Coś tu

się ewidentnie zesrało, a my, pokraczne bąble wypłute w samo centrum niczego wprost z łon naszych matek, lepcy i śliscy, każdy tak samo brzydki, bierzemy to wszystko do rączek i pchamy do buzi w ramach treningu sensorycznego. Coś nam tu śmierdzi, wykręca nasze nozdrza na lewą stronę. Papu jest bee, ale wypieramy sobie te, nikomu niepotrzebne, napływy refleksji między drylowniem wiśni i odszypułkowaniem truskawek. W rytmie, w tempie. Przecież nie od dziś wolimy przyjemniej i bezmyślnie łatwiej.

Może całe to machanie flagami i sztandarami to jeden wielki bullshit, może wszyscy chcemy jedynie, w sposób dystyngowany, nierzucający się w oczy i społecznie akceptowany, odsunąć smród sprzed nosa.

Tato, już lato.

W domu czekały nas trzy, kuszące bardziej bądź mniej, opcje. Czerwony pasek i spijanie pianki z piwka uchachanego ojczulka z podskakującym radośnie brzuszyskiem. Bramka numer dwa – łomotnięcie drzwi i soczysta porcja ciszy, tej z rodzaju przedburzowych, przerywana chrobotaniami dobiegającymi z pawlacza, a po niej następowały szybkie i nerwowe kroki do pokoju wakacjowicza, i głośne i rytmiczne plask, plask, plask, i czerwony pasek – rychło w czas – będziemy wspominać z przekąsem. Bramka numer trzy i tu zonk, chuj kogoś obchodzi twój pasek czy jego brak.

Próbowaliśmy się gdzieś wpasować, tego przecież oczekiwała od nas surowa rzeczywistość wzniesiona przez naszych przodków, konstrukt bezpieczny, bo tak dobrze znany. Oswojony, więc weszliśmy w to i długo wierzyliśmy. Połykaliśmy, posłuszni konformiści, dżdżownice, podnosiliśmy koszulki po przegranych zakładach czy leżeliśmy

z sercem podchodzącym do gardła na środku drogi, czekając na kolejny nadjeżdżający samochód, a asfalt parował i mościł się w naszych płucach. Oddech stawał się płytki, a uczucie ciężaru zdawało się nas nigdy nie opuszczać.

„Socjalizacja to proces kształtowania osobowości, przyswajania norm i wzorców zachowania, charakterystycznych dla danej grupy, którego wynikiem jest wyobrażenie o sobie i swoim miejscu w społeczeństwie, czyli tożsamość”. Cel uświęca środki, stabilna struktura osobowości jest miernikiem sukcesu.

$\frac{3}{4}$ naszych matek nigdy nie było, nawet kiedy były. Innym razem zajmowały tyle miejsca, że dla nikogo więcej nie było go już na tej scenie. Mogliśmy tylko dygnąć i odpajkować swoje bycie. Ojców to już w ogóle, jak to mówią, sukces ma wielu ojców, ale porażka – tylko matkę. Mieliśmy jeszcze dziadków, a przynajmniej niektórzy z nas. Ale tu też nie było dyskusji, nie dyskutuje się z kimś, kogo bliscy zahaczyli życiorysem o Auschwitz. Po prostu żyliśmy i powinno nam wystarczyć, że na naszych wersalkach nie ucina sobie drzemki żaden Ulrich, a na środku stołów, które przez lata służyły do gromadzenia rodziny przy ciepłym posiłku, nie defekuje Miszka.

I tu postawmy kropkę. Tłustą jak pulchna świnka czekającą w chlewiku na swój koniec, Bóg się rodzi, świnka zdycha, Bóg się rodzi, świnka pycha.

II

21 czerwca, początek lata albo końcówka wiosny, niezły kawał skurwysyna z tego czasu, wszystko jest względne. Kuglarskie zagrywki. Faza jaśminowa wstępowała na tron tuż po wonnej fazie bzowej, to po-

zostawało bez zmian, ale podskórnie czuło się, że pora już uchylić okno. Rozgonić zaduch. Wydłubać ze szczelin watę, którą upychaliśmy tam każdej jesieni, by ograniczyć napływ powietrza.

Bo był lęk wyssany z mlekiem matki i podtrzymywany odpowiednio skrojonymi do tego celu metodami wychowawczymi.

Ale gdy raz uchyliło się lufcik, a wymagało to niezwyklej siły woli, sprawności, gibkości i zdolności lawirowania na krawędzi taboretu z klapką (małą skrytką na skarby - mleczny ząb, połyskujące pióro sójki, niebieskawe skorupki szpakowych jajek, czaszkę martwej wiewiórki wymienioną z czasem na parostki kozła - które przez lata będą służyły opowieściom o diabłach, a z czasem przyjmą płęć kobiecą, by zamieszkąć okolicę i kusić poznaniem, zlizując znad górnej wargi mleczny ślad), nic już nie było takie samo. Skorupka pękała i, lekko poobijani, wydostawaliśmy się z jaj. Wystarczył jeden głęboki wdech, by wzniecić w nas apetyt potęgujący świdrowanie za pępkiem. Od tamtej pory towarzyszyć miał nam głód nie do zaspokojenia piętą z masłem. Nienazarte gąsienice łaknące przeobrażenia.

III

Przesilenie, czas otwartości i uchylków. Uchełek jelita grubego, uchylek przelyku i „uchyl lufcik, dziecko”, gdy wciąż ćwiczmy się w uchylaniu od razów spływających na nas z każdej strony. Później nazwiemy to doświadczeniem. Nic więcej ponad nieustające balansowanie swoim niezdecydowaniem z mięska i kostek, w połowie drogi do jutra.

Wchodzimy w to głębiej z każdym kolejnym kęsem.

Mira Król – urodzona w 1987 roku, w dniu jej czwartych urodzin światło dzienne ujrzała płyta *Nevermind Nirvany*. Absolwentka. Mieszka na mazowieckiej wsi. Píše. Publikowała w *Mi-gotaniach*, *Afronie*, *Drobiazgach*, *Stronie czynnej*, *Helikopterze*, *Szajn*, *Składce*, *Trytytce*, *Zakładzie*, w *Pocztówkach literackich Karola Maliszewskiego*, *Tłenie Literackim*. Gdy ktoś pyta, co aktualnie robi, odpowiada: szwendam się. Na deficyt zieleni poleca pola, łąki, lasy i rower.

przyjdą tu po nas
na porządku dziennym
zakurzą w oknach nerwowym petem
odgarną zgniecioną kołdrę
kilka pościelówek zdrapią z sufitu
nie zdążyliśmy zrobić przepierki
zgodzą się im wszystkie papiery
pewni że mają pójść
na wszystkie strony
wszyscy zajęci czymś innym
postarzało się to wszystko w cholerę
a miało przecież
jak wino do płyt
lecz w tę mętną policyjną godzinę
co nasze pod dywan
zamietliśmy wtedy patrz bardzo
się przydało na dzisiaj
zostaliśmy sami

chodź

Pety

Justyna Ratajska

dachowce

Justyna Ratajska

dzikie dziewczyny rzucają pestkami
znaczą teren patykiem
koce rozkładają na dachach
dziewczyny dachowce
stopy wygrzewają na drzewach
nasmarowane żywicą włosy
lato i tak strzepi na końcach

sprane bluzki zawiązują nad pępkiem
z dzikich słonych policzków
odklejają wieczorem piaskowe malowidła
te dzikie skaczą przed ogień
opowiedzą jutro historię
o przypalanych żarem palcach

a kiedy noc wpływa do wioski
dzikie i brudne
w za dużym swetrze
za dużo myślą

Justyna Ratajska – urodzona w 1983 roku, pisze od 6. roku życia, została laureatką kilku konkursów poetyckich, ma duży apetyt na scenariusze filmowe, kilka conceptów w szufladzie. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @szu.mie.nie.

Na parkiecie dudni takt
Nie kroków
I nie marszu
Marsz już nie wystarcza
Wyczerpał się
Wykoleił
Żałobny kondukt
Jak wyrazić ich lament?

Tylko skacz

Zaciśnięte oczy
Uchylone usta
Wgłąb wlewa się poblask różowego światła
Wędruje
Otula
Ledowa żarówka składa pocałunek na moim czole
Na moich oczach
Rozwiera mi usta

Podobno
Jeśli skupi się wystarczająco mocno
Wyczuje się puls tętniącej życiem ziemi

Skupiam się

Stopy mnie mrowią, lecz to nie puls, nie tętno i nie życie
Uziemia mnie jedynie bas mruczący na posadzce

To jest żałoba rozczarowująca
Wypacam ją

Kondukt żałobny

Marysia Adamska

Krople potu, które mogły stać się łzami
Nie stały się

Nie stałam się sobą
Nie staliśmy się

Tylko tańcz

Ty mówisz, że nie umiesz tańczyć i drgasz
Czarne tkaniny w pokrętnym korowodzie
Patrzę na własną wyblakłą znacznie bardziej
Starość tej sukienki otwarcie mnie piętnuje
Wciskam pięści w brzuch i wreszcie postanawiam

Wyrzucę ją
Niech zniknie dowód na to, że słońce kiedyś grzało

Kołnierze drapią
Szpilki uciskają
Teraz rozumiesz

Tylko skacz i tylko tańcz
Nie ulżysz sobie

Pozwól sobie wejść w żałobny kondukt
Jak wyrazić swój lament?

Cicho
głośno już było

Wolno
zaraz przeminie

Pusto
wciąż są skłębieni
i padną koło siebie po nocnym rytuale
przykryci cienką warstwą różowego światła
Zaciśnięte oczy
Uchylone usta
Z nich wypływa świst i drzenie na posadzce

Zespół Składki: Krystian Furga, Klaudia Kołodziejczyk,
Jowita Mazurkiewicz, Sandra Moczulska, Marcin Salwin
Korekta i redakcja: Krystian Furga, Jowita Mazurkiewicz
Skład: Klaudia Kołodziejczyk, Sandra Moczulska
Projekt okładki: Marcin Salwin
Grafiki na stronach 6-7: Zuzanna Stempska
Grafika na stronie 39: Wiktoria Bajka

Magazyn Literacki Składka, Warszawa 2024
www.magazynskladka.pl

Składka to internetowy kwartalnik literacki publikujący teksty młodych osób
autorskich założony przez Krystiana Furgę i Klaudię Kołodziejczyk w 2021 roku
w Warszawie. Po więcej informacji wejdź na naszą stronę magazynskladka.pl
lub zaobserwuj [@skladkamag](https://www.instagram.com/skladkamag) na Instagramie.

PRZESILENIA





SKLADKA